Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 23. Października 1881 r. **Tom XII.**



Nr. 43.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

— Moja stryjeneczko! — mówił wzruszonym głosem, wyspowiadam się przed stryjenką jak przed księdzem. Co ja winien? przywykłem dobrze żyć i niczego sobie nie żałować. Czy ja mogę teraz, za młodu, zasiąść na wsi jak pustelnik, barszcz jeść i z parobkami swymi przestawać? Nuda taka, że choć pod ziemię skryj się! Trzeba czasem do miasta pojechać, a w mieście, niechcąc, wleziesz zawsze w jakieś wydatki... To to... to owo! Zresztą, prawdę mówiąc, i po papie długi już na Żyrowiczach pozostały... Czy ja święty, żebym w takie ciężkie czasy, mógł majątki z długów oczyszczać? Młodość ma swoje prawa... czasem i niepotrzebnie coś się wyda... ale koniec końcem, z tego wszystkiego, robi się życie ciężkie... tu urwij, tam załataj... a wiecznie tylko i myśl o tem, żeby z całej gmatwaniny i dla siebie co przyjemnego wyciągnąć i przed ludźmi z honorem wyjść... Widzi stryjeneczka, jaki jestem szczery! wszystko przed stryjenką wypowiedziałem i proszę mię teraz pocieszać!

Wzruszony sam opowiadaniem dolegliwości swych, garnął się ku niej jak dziecko.

— Czy stryjeneczka pamięta, jak pieściła mię i przysmaczkami okarmiała, kiedym z papą do stryjowstwa przyjeżdżał?

Rozrzewniona do stopnia najwyższego, macierzyńskim ruchem odgarnęła mu włosy z czoła i ze łzami w oczach, wstała z kanapki.

— Mój Stasiu! — rzekła — niech ja Ci ulżę choć trochę i w czemkolwiek pomogę! O tak, pamiętam cię jak byłeś dzieckiem... takim ślicznym chłopaczkiem z włoskami co wieczór zawijanemi w papiloty. Lękałeś się bardzo ciemnego pokoju, a tak doskonale naśladowałeś ruchy i miny każdego, że umieraliśmy ze śmiechu... Jaki ty jesteś dobry, że przychodzisz czasem do mnie i przynosisz mi z sobą odblask jakiegoś wyższego, idealnego życia, jakiegoś pięknego, błyszczącego świata.

Otarła chusteczką łzy z oczu i bardzo kunsztownie owinęła sobie głowę wyjętym z komody szalikiem.

— Chodźmyż do Rolickiego...

U drzwi — stanęła.

— Stasiu! — wymówiła z cicha.

— Co stryjeneczko?

Najróżniejsze uczucia malowały się na jej twarzy: niepokój, nieśmiałość i pewna jakby uroczystość.

Ta ostatnia przemogła.

— Stasiu! — zaczęła uroczystym choć zawsze nieśmiałym nieco głosem, w ręce twoje powierzam cały mój majątek... Wiesz? jestem sama... prawie bezdzietna... bo Brynia... zaledwie wierzyć mogę, że jest córką moją... cóżby więc stało się ze mną...

— Stryjenko! — zawołał Stanisław— czyż zasłużyłem na podejrzenie takie? Niechże stryjenka zaufa honorowi i przywiązaniu memu...

Ręce jej drżały jeszcze trochę, ale z bezgraniczną już ufnością w głosie i wyrazem gołębiej słodyczy w błękitnych oczach — odrzekła. — Wierzę, Stasiu, wierzę. Chodźmy!

W sionkach znaleźli Brygidę schyloną nad samowarem i dmuchającą weń z siłą, którejby jej nie jeden mężczyzna mógł pozazdrościć.

— Dobry wieczór, kuzyneczko—najbardziej uprzejmym swym głosem przemówił do niej Stanisław.

Odwróciła się szybko, i przelotne zaledwie rzuciwszy nań spojrzenie, a obojętnie odpowiedziawszy: dobry wieczór, dobry wieczór! — wróciła do swego zajęcia.

Pani Emma przebywając z młodym towarzyszem swym obszerny dziedziniec... krok miała lekki i bardzo ożywione ruchy i gesta. Oglądała się w różne strony, jakby chciała zobaczyć, czy w tryumfalnej tej chwili widzianą jest przez kogokolwiek z sąsiadów.

Brygida tymczasem, wniosła do pokoju samowar, postawiła go na stołku i wróciła do sionek po wiązkę drewek, które, ze względów oszczędności zapewne, ciężką siekierą na drobne drzazgi porąbała. Z drzazgami temi przez pokój przechodząc, spostrzegła na stoliku talerz pełen ciastek i cukierków. Stanęła i patrząc na przysmaki, któremi przed chwilą matka jej tak uprzejmie gościa swego częstowała, w pół żałośnie, w pół gniewnie głową wstrząsnęła.

Potem rzuciła w komin garść drzazek, zapaliła je i przystawiła do ognia garnek z zastygłym rosołem. Wyszła znowu do sionek i wkrótce przechodziła przez dziedziniec z ciężkiem wiadrem w ręku, które napełniwszy wodą u bliskiej studni, jakkolwiek silna lecz zmęczona już, do sionek wniosła. Tam krzątała się i szamotała dość długo jeszcze, myjąc naczynia, wymiatając sionki i krając chleb razowy, którego też parę kawałków na talerzu przyniosła i obok samowara postawiła. Teraz zdjęła z głowy wielką, okrywającą ją chustkę, a twarz jej ukazała się pośród gęstwiny czarnych, prześlicznych włosów, śniada, z regularnemi i wyrazistemi rysy, z dwojgiem wielkich oczu, które głębokie i ciemne z pod energicznego łuku czarnych brwi pa-

trzały z ponurym prawie smutkiem. Oprócz smutku piękną tę twarz kobiecą cechował jeszcze wyraz przyrosłego jakby do niej rozjątrzenia. Stanęła u okna, śniady policzek oparła na zgrubiałej, ciemnej, spracowanej dłoni, a w postawie tej, nieruchoma i zamyślona, pozostała tak długo, że widziała jak matka jej u drzwi mieszkania adwokata żegnała się z młodym krewnym, jak on ją czule w rękę całował, jak o czemś z sobą długo poufnie z cicha mówili, jak ona wdzięcznie śmiała się z wesołych zapewne żartów jego i jak potem z ożywionym wyrazem twarzy, z uśmiechem na zarumienionych ustach, przebiegła dziedziniec i weszła do mieszkania znajdującego się w drugim kącie dziedzińca. Brygida ruchem niecierpliwości pełnym wzruszyła ramionami, krótki, szyderski śmiech ozwał się w szerokiej jej piersi, zmarszczyła czoło i pochyliwszy się nad koszem pełnym bielizny, czynnie i prędko zaczęła ją oglądać, składać i chować do jednej z szuflad komody. Nagle wyjęła z szuflady i podniosła w górę kolorowy łachmanek jakiś, krawat czy wstążkę.

— I to wczora, kupione! — szepnęła.

I wypuściwszy z palców nowy ten jakiś strój p. Emmy, stanęła znowu w uprzedniej postawie, z policzkiem opartym na dłoni, a po chwili basowym nieco, posępnym głosem swym wymówiła z cicha:

— Czyż to już zawsze tak będzie?

Pani Emma tymczasem weszła do mieszkanka, które tak jak i zajmowane przez nią składało się z sionek i jednego pokoju. Pokój ten tylko wyglądał wcale inaczej. Niedostatnio tu było, ale nadzwyczaj, pedantycznie niemal czysto i porządnie. Tu także znajdował się komin do gotowania przeznaczony, ale czysto wymiecione wnętrze jego nie potrzebowało osłony żadnej. U okien firanek nie było, przy jednem z nich zieleniło się świeżo kilka wazonowych roślin, a szyby drugiego znikały prawie pod rozwieszonemi na nich różnobarwnemi wyrobami rąk kobiecych. Były to wyroby małej, szczupłej osóbki, która siedząc na niskim stołeczku, pod oknem, pilnie zajętą była wykończaniem malutkiego dziecinnego bucika z włóczki. Wełniana suknia gładka, tabaczkowego koloru i gładko też uczesane, w mały warkoczyk z tyłu głowy zwinięte włosy, świadczyły o niewytworności jej gustu, zarówno jak okrągła rumiana twarz i czarne małe oczki zdradzały wyrazem swym wielką żywość i wesołość temperamentu. Pomimo jednak rumieńców i wesołości, osóbka ta wyglądała na lat przeszło czterdzieści. Głośnym okrzykiem powitała wchodzącą i zrywając się ze stołeczka swego zawołała.

— Mamo, mamciu! pani radczynia...

Wołanie to przerwało drzemkę drugiej, znajdującej się w pokoju tym kobiety. Była to postać dość osobliwa: wysoka, sucha, z ostremi rysami, obleczonemi skórą delikatną i żółtawą, włosy miała siwe jak srebro, przykryte śnieżnie białym i strojnie wygarnirowanym czepeczkiem, na długim, cienkim nosie okulary w złotej oprawie, a na kolanach wielką, podartą, rozwartą książkę do nabożeństwa. We francuski szal z szerokiemi szlakami owinięta, zajmowała ona jedyny zbytkowny sprzęt, jaki się znajdował w mieszkaniu, wielki, wygodny, staroświecki fotel. Budząc się, pośpiesznym ruchem poprawiła układ swego szala, wyprostowała się jak struna a na ostre rysy swe przywołała wyraz wielkiej powagi.

— Witam, witam, — wyrzekła uroczystym, nosowym nieco głosem i gestem pełnym łaskawości, wyciągnęła do przybyłej chudą, żółtą rękę. Pani Emma z pewnym rodzajem przymilenia i nieśmiałej czci, zbliżyła się ku dumnej staruszce.

— Przepraszam, przepraszam — mówiła, — obudziłam panią przydentową.. ale był u mnie dziś Staś Żyrewicz....

Chciała mówić dalej, lecz obie kobiety wydały taki okrzyk, jak gdyby tuż obok nich zaszedł nadzwyczajny jakiś wypadek. Wązkie i przycięte wargi staruszki rozwarły się uśmiechem, rumianą twarz jej córki oblał potok wesołości.

— Był! — zawołały jednogłośnie. — Potem zapraszały obie, każda na sposób inny, p. Emmę, aby usiadła.

— Niech pani radczyni będzie łaskawa usiądzie, — uroczyście mówiła stara.

— Niech pani kochana siada! proszę usiąść, szczebiotała córka jej.

— Dziękuję pani prezydentowej! dziękuję pannie Rozalii, przyszłam właśnie powiedzieć, że Staś kazał oświadczyć paniom najpiękniejsze ukłony.

— Co to ukłony! jakto ukłony! nie zaszedł, nie odwiedził... a należy się to przecież wujecznej ciotce jego, bo my pani Dobrodziejko w blizkiem jesteśmy z sobą pokrewieństwie. Nieboszczka prababka moja Sernicka z domu, z tych Sernickich którzy Odropole w Ongrodzkim powiecie mieli, a potem co na exdewizję poszło i licho wszystko wzięło... otóż, nieboszczka prababka moja miała dwie córki, z których jedną wydała za Bodrzyńskiego, z tych Bodrzyńskich, do których należał kiedyś klucz Bodrzyniecki, ale on miał już tylko jednę tam piękną wieś, sto chat podobno, a druga córka wyszła za Żyrewicza, dziada właśnie pana Stanisława, który miał trzech synów: Bolesława, Karola i Jana. Pan Stanisław jest synem Bolesława, bardzo ładnego za młodu chłopca, ale wielkiego utracjusza. Prześwistał też on Międzylesie, a na Żyrewiczach dłużki w sukcesji synowi pozostawił. Szczęściem chłopiec sprytny... da sobie rady... da sobie rady... ale czemu nie zaszedł dziś, nie odwiedził... to, to, to, nie dobrze... to, to, to, nie pięknie... nie pięknie...

— Robótek moich nie zobaczył! — nagle i niespodziewanie zawołała mała osóbka wstrząsając w powietrzu, błękitnym bucikiem, jakby całemu światu pochwalić się nim chciała. On zawsze tak chwali robótki moje i kiedyś to nawet dość ich dużo pomiędzy znajomymi swymi rozprzedał. Bardzo dobry, o Staś bardzo dobry!

— Że dobry to dobry, — przytwierdziła stara, dla starszych z uszanowaniem, grzeczny, układny, znać krew obywatelską... dobrą krew... piękną krew... i w dobrym świecie żyje, w pięknym świecie, och! och! och!

Po przeciągłem westchnieniu tem, smutnie czas jakiś wstrząsała głową, a zaciśnięte znowu wargi jej i siwe źrenice, gniewnie połyskujące, zdawały się mówić: »i ja kiedyś na świecie tym żyłam, i ja do niego z prawa należę! och, och, och!«

— A jakże Stasieczek ma się? czy zdrów? czy wesoły? — przerywając sobie półgłośne liczenie oczek, zaszczebiotała znowu panna Rozalia.

— Zdrów, dzięki Bogu i wesoły, chociaż... nie bardzo. Dokuczają mu interesa, małe tam dłużki jakieś, gospodarstwo... Martwi się biedak i zdaje mi się nawet, że trochę zmizerniał. Szkoda go doprawdy... taka to piękna, wzniosła dusza...

Stara zaplotła na kolanach ręce i sztywna jak mocno naciągnięta struna, głową tylko wstrząsała.

— Tak, tak! upada obywatelstwo nasze, upada! Czy to kto słyszał kiedy, żeby dziecko takiej rodziny... gryzło się i mizerniało od kłopotów i nieprzyjemności. Motłoch teraz górą, pani moja, motłoch górą! a nam przyszło ot w dziurach takich siedzieć i patrzeć, jak dobra naszego różne figury używają... Ot, byłam dziś z wizytą u marszałkowej Korzyckiej, tego Korzyckiego żony, co to z Odropolskiej rodzi się i Ligówkę ma... piękną fortunę z pałacykiem i angielskim ogrodem... Miła osoba, bardzo miła... gościnna... przyjęła mię bardzo grzecznie, przypominała że będąc dzieckiem znała mię, kiedy mieszkałam jeszcze w moich Łopotnikach i sąsiadowałam z jej rodzicami... Zapytałam się jej, czy nie wie czego o Łopotnikach. A jakże! mówi, bywamy tam z mężem. Pytam się: u kogo? kto tam mieszka? Powiedziała, że Wyżliński jakiś, licho wie kto i zkąd, przybłęda z końca świata, przyjechał, Łopotniki kupił i rozpiera się w nich sobie jak pan wielki... My to choć znajomemu i sąsiadowi sprzedaliśmy naszą fortunę... kiedy już koniecznie trzeba było i zawsze myślałam sobie: no, przynajmniej z dobrej familii człowiek na naszem miejscu osiadł, bo to ten był... Prażnicki, z Saniewa i z Saniewskiej urodzony, który przez kupienie Łopotnik dobra swe chciał zaokrąglić, ale teraz, fiut! i przewróciło się wszystko do góry nogami! Prażnicki zbankrutował i dzieci jego poszły gdzieś w służbę, czy co u licha, a w Łopotnikach rozpiera się jakiś Wyżliński... żeby jego djabli ztamtąd wyparli! Ciekawam, czy choć uszanował on i porządnie utrzymuje dom ten, w którym ja większą połowę życia szczęśliwie przeżyłam i tę aleę z akacji, którą z nieboszczykiem Romualdem, zasadzaliśmy własnemi rękami! Nie chciałam nawet pytać się o to marszałkowej, bo żeby mi co złego powiedziała, byłabym rozpłakała się, a dla mnie... okazywać żal przed ludźmi... nie wypada... nie wypada! przed jednym tylko Bogiem mogę... to, to, to, to, przed jednym tylko Bogiem....

Wyjawiała przecież, pomimo *niewypadania* i przed ludźmi, bo stara powieka nie była dość silną, aby powstrzymać łzę,

która, przy wzmiance o domu w Łopotnikach i akacjowej alei, na zżółkłą kartę książki do nabożeństwa upadła.

— Mamciu! — jękliwym głosem zawołała Rozalia, — niech mamcia nie płacze, moja mamciu! oczy będą boleć! mnie aż serce pęka, kiedy widzę, że mamcia płacze!

Robótkę upuściła na podłogę, przyskoczyła ku matce i przysiadłszy u nóg jej, kolana jej całowała. Stara, pogłaskała ją jak małe dziecko po gładziutko uczesanych i wypomadowanych włosach, ale wnet usunęła ją zlekka od siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LORD BYRON

jego charakter i umysł

napisał

FELIKS LEWICKI.

(Ciąg dalszy.)

Gdy znowu pewnego dnia zeszła rozmowa na panią de Stael, opowiadał, jak mówił francuskiej autorce, że jej dzieła „Delfina" i „Korynna", były romansami nadzwyczaj niebezpiecznemi w rękach młodej kobiety. Gdy zdziwiona hrabina spytała się, jak autorka tę otwartą i surową przyjęła krytykę — odrzekł:

—Mój Boże; przyjęła tak, jak zwykle autorzy przyjmują sąd podobny o ich dziełach—nigdy mi tej otwartości nie przebaczyła. Próbowała wykazać mi fałsz mego dowodzenia i utrzymywała, że przeciwnie, dwie te prace były bardzo moralnemi. Zresztą, przerwałem jej, nie mówmy o Delfinie, bo ta praca do kwestji nie należy.. Tutaj pani de Stael wybuchła takim gniewem, że trudno mi go opisać. Każda osoba posiadająca szczyptę moralności, musi przyznać, że jest pospolitem, ciężkiem i nudnem w „Korynnie" to wszystko, co w dziele tem ma być cnotliwem. Podminowałaś pani tam cnotę... Tak się uniosła na te wyrazy i tak starała się zbić mnie wymową swoją, że zostałem zmuszony użyć całej krasomówczości mojej, aby jej czoło postawić. Przerywała mi ciągle, ruchami gwałtownemi co słowo chciała przeciąć mi mowę i wykrzykiwała: *Cóż to za myśl! Mój Boże! Słuchajże pan! Niecierpliwisz mnie pan!* Nie przeszkodziło mnie to jednak wcale wypowiedzieć jej, że niebezpiecznem jest dać ludziom do myślenia, iż genjusz, zdolność, nauka i wszystkie rzadkie zalety, któremi przyoblekła „Korynnę", nie ulegną sile namiętności, przeciw której rozum i duma kobieca nie są dostatecznemi zaporami. Mówiłem jej, że wszystkie młode kobiety obdarzone bujną wyobraźnią, przyjmą charakter Korynny, jako usprawiedliwienie gwałtownej namiętności, i że na nią spadnie odpowiedzialność za ich czyny. Ach, gdyby ją pani wtedy widziała!... Doprawdy, że nierozumiem dzisiaj, jak mogłem jej czoło stawić, to jest gwałtownemu jej gniewowi. Wtedy byłem w werwie, a co ważniejsza, iż doniesiono mi, że puściła w świat pewien komentarz o mnie i za jej sztukę zdawkową, oddałem jej podobną monetą. Powiedziała mi, że jestem ostatnią osobą pod słońcem, której wolno dawać nauki moralności, pracując sam bez przerwy nad jej zepsuciem. Udawałem przed nią niewinnego i skromnego, mówiąc, iż się wcale nie bronię, że wyznaję, iż czasem mogłem przedstawić zbrodnię pod przyciągającą formą, że zresztą trzeba było ją wziąć taką jaką ona jest, jaką ją w świecie spotykamy, jednak, że nigdy nie dążyłem do rozczarowania w jaki bądź sposób, przedstawiając cnotę w barwach mdłych, nudnych, głupich i pustych; że nakoniec starałem się zawsze o to, aby pokazać ludzi zepsutych i złych jako nieszczęśliwych, i nieszczęśliwych tych nawet, którzy ich kochali, lub byli im posłuszni i ulegli. Moralność więc moja, nie stawiała mnie w położeniu takiem, iżby nie wolno mi było krytykować jej moralności na korzyść publicznego dobra. Gniew jej doprowadzony był wtedy do ostatniej potęgi. Nie szczędziła mi pocisków i przezwisk a co najbardziej podsycało jej złość, to chłód mój, jaki naumyślnie zachowałem, to zimna krew moja jaka na przekór jej uniesieniu stawała jako broń, o którą rozbijała się jej potęga wymowy. Wielka mnie na prawdę ochota do śmiechu brała. Mówiła mi, że uchodzę za najgorszego człowieka epoki i że śmiem jej, pani de Stael, dawać nauki moralności! Najbardziej ją to gniewało!.. Dowiedziałem się potem, że nigdy przed nikim nie chwaliła się tem, że tak śmiało z nią postąpiłem. Pomimo tych słabostek, pani de Stael piękną była istotą. Była to kobieta wielkich zdolności, obdarzona szlachetnemi i rzadkiemi zaletami; posiadała niezwykłą prostotę duszy. Dawała się łatwo oszukać z powodu tej swojej prostoduszności. W Londynie nie raz ją to spotykało. Ona mi to pożyczyła powieść zatytułowaną „Adolf", która pani hrabinie tak się podobała. Jeden z moich przyjaciół, powiedział mi, że przypuszczają powszechnie, iż pani de Stael jest autorką tej powieści; z zwykłą otwartością moją powtórzyłem jej to samo. Zgniewała się tem ogromnie, i dowiodła mi, że to było niepodobnem, aby ona pisała tę powieść. Wiedziałem o tem dobrze, ale... powstałem wraz z nią żywo na złość światową.

Później w kilka dni gdy Byron wspomniał znowu o „Adolfie" utworze Benjamina Constant, tak się wyraził:

— Mówiłem pewnego razu pani de Stael, że ta mała książeczka więcej ma wartości, aniżeli to wszystko co ona napisała, że trzebaby ją dać jako antydot każdej kobiecie, która czytała „Korynnę". Biedna pani de Stael! Ile razy mówiłem jej jedną z tych miłych prawd, wpadała zawsze na mnie z gwałtownością lawiny, zmiatając wszystko, co jej stało na zawadzie, prądem wymowy, który tak okropnie odurzał a tak mało przekonywał!... Zdawało się jej, że przekonała człowieka gdy go zmusiła do milczenia. Zawsze udawało się jej to, bo jak mówi irlandzkie przysłowie: „Tak myślami bić dobrze umiała, że jej przeciwnik dawał za wygranę."

Pewnego dnia zeszła rozmowa na lorda.., który dobrym był Byrona przyjacielem.

— Kocham naprawdę lorda... — mówił Byron — chociaż tak okropnie poddaje się domowemu niewolnictwu, co wzbudza we mnie litość pokrewną z pogardą. Zacny ten człowiek, pozwala się w sposób nadzwyczajny traktować przez milady. Co najlepsza to, że żeńskiemu temu tyranowi, udaje się przekonać go wybornie i to dobrocią, że postępuje tak dla jego dobra i dla jego zdrowia. Niechże mnie Bóg uchowa od tak zacnej połowicy! Jestto kobieta najwięcej stanowcza i najwięcej despotyczna, jaką kiedykolwiek poznałem. Nie odstępuje na włos od roli królowej. Jestto takt pewnego rodzaju, gdyż jeśliby noga jej się poślizgnęła, mogłaby spaść z tronu do przedpokoju. Nie jest jednakże mściwą, bo zaszczyciła mnie swemi względami, zaraz po ogłoszeniu małego epizodu, który jej poświęciłem w „Englisch Bards". Milady w moich oczach ma wielką zasługę, tę mianowicie, że w naszym wieku plotek, komeraży i skandalicznej skromności, w kraju zwłaszcza naszej kochanej Anglji, gdzie do dobrego tonu należy noszenie maski wszystkich cnót, zwyciężyła i to przecież niewiele ukrywając, po prostu odwagą.. raczej bezczelnością! Nie tylko że przyjmowaną bywa w towarzystwach, ale utworzyła sobie kółko ludzi, którzy przypisują jej wiele talentów. Ja zaś przyznaję jej tylko jeden talent, zapewnie pochodzi to z mego zaślepienia, mianowicie, że w wysokim stopniu posiada dar rzucania z wyżyny swego tronu, kilka kwestji, które dowodzą, że trochę czytała. I oto wszystko!... Pierwsze nieporozumienie, jakie nastąpiło pomiędzy mną a lady Byron, było z tego powodu, że chciałem ją zmusić, aby odwiedziła tę kobietę... Dziwnem jest — dorzucił z gorzkim uśmiechem — że pierwsza i ostatnia nasza kłótnia powstały z przyczyny dwóch kobiet, które naprawdę niegodne były nas poróżnić.

— Czy pan się nie obawiasz — spytała lady Blessington — aby słowa pańskie lady Byron zostały powtórzone?

— Boże — zawołał — gdyby to słyszała, byłaby dla mnie miłą i przyjemną, bo postępuje zawsze gburowato z tymi, którzy jej schlebiają.

Z nadzwyczajnym sarkazmem wyrażał się o rodakach swoich. Fałszywa skromność angielska, owa „Cant" oburzała go nadzwyczaj. „Zatruwa wszystko, jak mówił, co jest uczciwem i dobrem w Anglji."

— Najlepszy na to środek, jest ośmieszenie — mawiał. — Jestto jedyna broń, która od wilgotnego angielskiego klimatu nie rdzewieje. Anglicy zdatni są tylko na mieszczan, a ci, którzy na wsi żyją są w istocie ludźmi uwielbienia godnymi. Przepędziłem dłuższy czas na wsi i przypatrzyłem się ich sposobowi życia, który najwyborniejsze na mnie zrobił wrażenie. O Londynie i jego towarzystwie wyniosłem najrozpaczliwsze wspomnienie. Potrzebny jest rozum, dowcip i wesołość, aby kółko ludzi wiecznie odmładzało się i wytwarzało sobie wiecznie nowe rozrywki. We wszystkich jednakże londyńskich towarzystwach panuje wielka czczość, brak talentów i łatwej wesołości. Rozum angielski jest materjałem o zbyt ciemnych kolorach. Angielka bez trudów i wysilenia stać się może najlepszą córką, kobietą, matką, bohaterką nawet, ale nigdy nie będzie kobietą modną; jednakże przekłada tę rolę nad wszystkie inne i największą do niej ma pretensję. Zacne i szlachetne angielskie damy, najlepiej są wychowane i najwięcej dystyngowane na całym świecie (lady like.) W życiu domowem spotykamy tam naturalność, słodycz pełną godności i prawdziwą dobroć, słowem arystokrację naszą świetnie reprezentują. Gdy jednak kobiety nasze przechodzą po za linję tej sfery i pragną stać się modnemi, stają się wtedy lekkomyślnemi, a zdaje się im, że są wesołemi. Duma ich zakrawa na niegrzeczność; łatwość, owo *fashionable*, na gburowatość, a lekce-

*

ważenie obyczajów przyjętych, na pogardę dla wszelkiej przyzwoitości. Stają się jednem słowem ciężkiemi karykaturami, naśladującemi kobiety francuzkie, a przecież nie posiadają, jak te ostatnie, owej grzeczności płynącej sama z siebie, która tyle rzeczy wybacza! Pani de Stael uderzoną została pożyczanemi zwyczajami w najlepszych londyńskich towarzystwach i czekała długo, chcąc poznać klasę średnią. Ku wielkiemu memu żalowi nie znalazła sposobności, któraby zmieniła zdanie, jakie sobie o nas wyrobiła. W Anglji dobremi są natura i prawda, ale *fashionable*, blichtr ucywilizowanego świata, wszystko niszczy.

Takie znowu Byron pojęcie miał o Szkotach i Irlandczykach:

— Nie zaprzeczonem jest, że Szkoci wyżej stoją od Anglików. Więcej są od nich wykształceni, obdarzeni głębszym umysłem i zdolnością do badania; czego dowodem jest, że we wszystkich sprawach przewyższają Anglików. Irlandczycy maja duszę poetyczną, Szkoci więcej filozoficzną. Wyrzucam Irlandczykom zbytnią imaginację. Wynika ztąd, że ich literatura posiada niezliczoną liczbę figur retorycznych i hyperbol, które męczą i wywołują w czytelniku pragnienie większego pozytywizmu.

Miał zwyczaj mawiać, że nie czytuje nowych dzieł, które z druku wychodziły; wiedział jednak dokładnie o wszystkiem, co się podówczas publikowało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Najnowsze podróże po Afryce.

Illustracja czeska *Svietozor* podaje w treściwym wyciągu wiadomości z dziedziny postępów wiedzy ludzkiej na polu geografji, rezultaty podróży rozmaitych mężów, którzy w ostatnich czasach usiłowali poznać zakątki świata, mało dotąd nauce znane. Podajemy tu czytelnikom zaczerpnięte ztamtąd krótkie wiadomości o rezultacie podróży trzech uczonych, którzy usiłowali poznać lepiej Afrykę, tę starą część świata, znaną geografji o wiele mniej, aniżeli świat nowy.

Najciekawsze wiadomości przywiózł ze swej podróży Gerhard Rohlfs, który po powrocie opowiadał takowe w towarzystwie geograficznem w Berlinie. Rohlfs wyruszył w październiku r. z. z Egiptu; w drużynie jego znajdował się dr. Stecker, młody uczony czeski. Wyprawa płynęła po morzu Czerwonem, które ściśnięte pomiędzy wysokiemi górami, a mające po obu stronach swych pustynie, należy do najcieplejszych mórz na naszym globie. Woda jego w zimie nawet dochodzi do 28—29 stopni cieploty; a cieplota powietrza dosięga aż 35 stopni. Gorąco tem jest nieznośniejsze, że go nie miarkuje ani wiatr, ani deszcz; raz tylko w czasie żeglugi podróżni doczekali się burzy.

W Massue podróżni wyszli na brzeg i robili wycieczki w okolice, póki nie nadeszło pozwolenie od jenerała abisyńskiego Rasa Aluli, że wolno im przybyć do Abisynji, która obecnie osaczoną jest wojskiem egipskiem. Przeciętną ciepłotę w tem miejscu Rohlfs zmierzył na 35 st., w lecie, nawet w cieniu dochodzi ona do 56 stopni. Gorąco to rozumie się oddziaływa na pokarmy i napoje i podróżni bardzo byli zadowoleni, gdy udało się im piwo ochłodzić do 26 stopni.

W grudniu Rohlfs udał się na wyżynę abisyńską; do samego podnóża towarzyszyła mu eskorta egipska, potem zaś najął woły do wiezienia bagaży i w przeciągu dni trzech znalazł się na wysokości 2,000 metrów. Tu już ciepłota powietrza jest daleko niższą, a na całej wyżynie, która na południu dochodzi do 3,000 metrów, rzadko przechodziła 25 stopni. Jenerał abisyński Ras Alula, przyjął podróżnego nader uprzejmie i kazał straży odprowadzić ich aż do Adue, gdzie znaleźli tłumacza w osobie ziomka swego Schimpera, który odtąd towarzyszył Rohlfsowi w dalszej podróży. Dalej podróżni szli przez Sokotę, a za nią droga przechodziła przez dzikie, wielce zajmujące pasmo gór. Po 54 dniowej podróży Rohlfs z towarzyszami przybył do Debrataboru, stolicy monarchy abisyńskiego (tak zwanego *negusa*); ten przyjął uczonego z drużyną z wielką czcią, poczem Rohlfs rozpoczął odwrót, obchodząc jezioro Tanę, przedtem jednakże pożegnał się z dr. Steckerem, który go opuścił.

O mieszkańcach Abisynji Rohlfs opowiada, że są daleko lepsi od opinji, jakiej używają; nigdzie nie znalazł służby tak wiernej, pracowitej, spokojnej i gotowej do poświęceń, jak właśnie w Abisynji. Religja tylko zewnętrznie na Abisyńczyków wpływała, a chrześcijaństwo w ludzie polega jedynie na tem, że tenże całuje progi kościołów, resztę zaś księżom pozostawia. Od r. 1879 z rozkazu negusa w całej Abisynji panuje tylko religja chrześcijańska, sekta monofizytów; mahometanie musieli albo przyjąć chrześcijaństwo, albo wynieść się z kraju, tylko w południowo zachodnim zakątku kraju żyją dotąd falaszowie żydowscy.

Okolice jeziora Tany, Rohlfs chwali bardzo; w styczniu znalazł tu dojrzałe brzoskwinie, zboże rośnie i dojrzewa w każdej porze roku, a powietrze przesycone jest zapachem róż i jaśminów. Jezioro samo ma słodką wodę i wybornie zasyca fale Nilu niebieskiego (Bahr el Azrek). W dalszej podróży Rohlfs doszedł do dawnej stolicy Gondaru, gdzie znalazł zwaliska zamków i pałaców portugalskich, potem odwiedził jeszcze stare miasto królewskie Axum i doznając wszędzie uprzejmego przyjęcia, w kwietniu r. b. powrócił do Massue.

Podobnież wrócił do Niemiec dr. Oskar Lenz, który zwiedzał Afrykę w całkiem przeciwnej stronie niż Rohlfs, bo na zachodzie. Wyjechawszy z Maroko, podróżował przez góry Atlas aż do Tendufu, gdzie zaczyna się właściwa droga przez pustynię Saharę, którą przebył w ciągu dni 43. Gorąco nie było właściwie zbyt wielkie, wszelako ciepłomierz niekiedy okazywał 45 st. Cels. Wielce dokuczały karawanie piaszczyste burze, przychodzące z południa. Dnia 15 maja podróżni doszli do wałów piaszczystych, gdzie byli świadkami osobliwszego zjawiska przyrody, zwanego „brzmiącym piaskiem“. Długi, ponury dźwięk wychodzi z wnętrza piaszczystego kopca, po kilku sekundach milknie i znowu w innem odzywa się miejscu. Zdaje się, że przyczyną tego zjawiska jest tarcie cząstek piasku o siebie.

Dnia 29 maja karawana, składająca się z sześciu członków, przybyła do małego miasteczka Taudeni, w okolicy którego dobywają mnóstwo soli kamiennej i takową przywożą do Timbuhtu. Do tego ostatniego miasta dr. Lenz przybył 1 lipca i tutaj dwadzieścia dni przebywał. Miasto liczy około 20,000 mieszkańców, Arabów i murzynów. Ztąd podróżował przez kilka miesięcy w kierunku zachodniego pobrzeża Afryki i na drodze kilkakrotnie był napadnięty przez rozbójników. W listopadzie dotarł do ostatniej stacji francuskiej na rzece Senegalu, Mediny i ztąd już wygodnie płynął po rzece do St. Louis.

Dr. Lenz stanowczo jest przeciwny dwom wielkim projektom co do Sahary, mianowicie nawodnieniu znacznej jej części, oraz kolei przez samą Saharę.

Również powrócił z podróży swej Włoch, Gustaw Bianchi, wyprawiony przez towarzystwo w Medjolanie dla zbadania Afryki pod względem handlowym, a nadto dla wynalezienia śladu rodaków swych Chiaviniego i Cecchiego, od których dawno już żadnej nie było wiadomości. Przybywszy do Masawy, przewędrował kraj Szoa w Abissynji, zbadał dotąd mało znane kraje Goczam i państwo królowej Gherskiej, u której w niewoli umarł był Chiavini. Nad wschodnim dopływem rzeki Bahr el-Asrek (Nil niebieski), zowiącym się Abai, spotkał Cecchiego, który, nie chcąc powracać, udał się dalej do wnętrza Afryki, Bianchi zaś przez Habesz do Włoch powrócił.

W powrocie do Europy znajdują się Włosi Matucci i oficer od floty Massari, którzy przeszli ląd stały Afryki od Egiptu aż do zatoki Gwinejskiej. Niedawno przyszła wiadomość telegraficzna, iż przybyli na wyspę Madeirę.

W południowej Afryce robił w r. z. poszukiwania w mało znanych okolicach na południe od wielkich jeziór podróżnik Savorgnan de Brazza. Nad rzeką Kongo 7. listopada r. z. spotkał się ze znakomitym Stanleyem w Mdambi-Mbongo. O nieustraszonym tym Amerykaninie przybyły niedawno świeże wiadomości, według których Stanley robi dalej poszukiwania w południowej Afryce, zwalczając zwycięzko najrozmaitsze przeszkody.

B. G.

WYŻEJ!....

Sam nie wiem dokąd? byle tylko wyżej!
Chciałbym wciąż lecieć za blaskami słońca,
Za tem płomiennem, przeczystem obliczem.
Lecz czyż mię kiedy los do niego zbliży?
Czy dusza moja w bolach zwątpień drżąca,
Nie spłonie w jego świetle tajemniczem?

Wyżej i wyżej! oto moje hasło.
Wyżej! z tych szranków poziomych żywota,
Wyżej! z krainy chmur, z toni mgły ciemnej.
Wyżej... lecz ileż gwiazd na niebie zgasło,
Które ta sama pędziła tęsknota
I ten sam poryw gorący daremny?...

O! słońce marzeń, ideałów słońce!
Chmurami nie kryj mi swojego tronu,
Za którym płynę nieznanymi szlaki...
Rumieńce zorzy wiodą mię — twe gońce,
Dążąc za nimi w falach nieboskłonu,
Kąpię się cichy, jak poranne ptaki.

Na mą gonitwę próżno los się zżyma:
Żadna moc od niej odwieść mię nie zdoła
Dopóki bóstw mych widzę jasne twarze...
Pod ich spojrzeniem wyrastam w olbrzyma
I drwię z potęgi czarnego anioła
Wołającego: «Wstrzymaj się — Ikarze!...»

St. Rossowski.

Kronika Tygodniowa.

Żółte liście z drzew lecą, deszcz chlapie jak najęty, po niebie ołowiane chmury, wszystko to zwiastuje, że znów trzeba się będzie zasklepić w mieszkaniach na całe sześć miesięcy i połykać ślinkę na myśl, że tam gdzieś na południu są tak szczęśliwe kraje, gdzie pogoda i ciepło, a ludzie chodzą nad brzegami morza w ryżowych kapeluszach i łowią motyle. W mieście naszem gwarno jak zwykle, kiedy najcięższe już działa naukowe, jakimi są Uniwersytet i szkoła Politechniczna, rozpoczęły swoją kampanję. Znikły z murów kartki zapraszające do wynajęcia jednego kawalerskiego pokoju, przezorni sprowadzają stosy drzewa na zimę, wszędzie przed sieniami warczenie pił i stuk rąbania, a poczciwi żydkowie chcąc się pozbyć gwałtem już psujących się śliwek, ogłaszają wszem obec: „po trzy centy, funt — po trzy centy".

Razem ze zmianą temperatury, rozwinęły się kaszle, katary i ból zębów, szczególniej u płci pięknej, która widocznie musi skuteczniej pracować niemi, jeżeli ich moc tak często nadweręża. A tymczasem ojcowie narodu *w sejmie gmachowym*, jak go nazywają kucharki, wzięli się energicznie do roboty. Bank krajowy mający operować nie na zysk, (a my dodamy, żeby i nie na stratę) uchwalony, ale otwarcie jego nie nastąpi wcześniej, aż po następnej kadencji sejmu, która ma wybrać dla niego radę nadzorczą. Opinja powszechna bardzo życzliwie przyjęła tę uchwałę, oczekując po nowej instytucji zupełnego odrodzenia się naszego bytu ekonomicznego. Mogą to być złudne nadzieje, nowy środek kredytu, bez ludzi, którzy go użytecznie potrafią zużytkować, nic nie pomoże, jak nie pomoże obfitość potraw choremu na gorączkę, albo temu, który nie ma za co ich kupić. Jednakże do tylu celów jakie uchwała sejmu naznacza przyszłemu Bankowi, powiadamy otwarcie, że milion dotacji i to jeszcze pożyczonej na procent, chociażby nawet niski, nie wystarczy i nie osiągnie właściwego celu jako regulator stopy procentowej. Chcąc wytworzyć ruch przemysłowy w kraju, aby skutecznie mógł konkurować z obcym, trzeba albo monopolu celnego, albo niższej jeszcze stopy procentowej, niż go mają te kraje, z któremi mamy pójść w zawody. Monopolu mieć nie możemy, starajmy się więc o to drugie, a przyznajmy się otwarcie że milionem Galicji nawet zaimponować nie można, i trzeba uciekać się do posiłkowego kredytu, który z pewnością tanim nie będzie.

Wiele wrzawy narobiły obrady sejmu nad propozycją Rządu co do zmiany ustroju administracyjnego u nas. Mówcy oglądając się zawsze na to co powiedzą sfery wiedeńskie, bardzo delikatnie dotykali głównego nerwu sprawy, o którą idzie ministerstwu. Jeden tylko poseł Romanowicz, powiedział otwarcie co myśli i jak się kraj konstytucyjny na takie propozycje zapatrywać powinien, i za tę odwagę należy mu się prawdziwe uznanie. Również musimy tu zaznaczyć bardzo korzystny debiut poselski p. Merunowicza, któremu się udało przeprowadzić kilka wniosków szerszego znaczenia. Takich więc sił dodatnich potrzeba nam więcej w sejmie, bo małą to jest zasługą podnosić ręce przy głosowaniu, lub stawiać poprawki za poprawkami dla popisu i paraliżowania obrad... Bierny udział jeszcze nie daje prawa do zasługi, trzeba koniecznie okazać się rzeczywiście użytecznym, a nie figurantem. Spodziewamy się, że wyborcy prowadzą ścisłą kontrolę czynności swych posłów i przy następnych wyborach obliczą dodatnie ich kreski.

* * *

Na odbytem w zeszłym tygodniu dorocznem posiedzeniu Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, dyrektor muzeum tegoż Zakładu p. Edward Pawłowicz, w obec licznie zgromadzonej publiczności, miał odczyt o stanowisku malarstwo polskiego w obec sztuki u obcych. Po treściwym rzucie oka na sztukę w ogóle, a malarstwa w szczególności, tak u nas jak i zagranicą, w wiekach dawniejszych, p. Pawłowicz zatrzymał się dłużej nad okresem lat nowszych, a wyliczając mistrzów francuskich, takich jak David, Gérome, Cciguet, Jngres, P. Delaroche, Ary-Schaeffer, E. Delacroix, H. Vernet i wielu innych, powiedział:

„W tym to czasie, gdy ich sława obiegała świat, nad Polską, jak długa i szeroka zaciężyła żelazna ręka losu. W tym to też czasie, naród zdumiony usłyszał po raz pierwszy dźwięk lutni nieśmiertelnych swych mistrzów, którzy jako prorocy na ruinach ojczyzny, zanucili pieśń boleści — ale też z nią i pieśń nadziei. Jej to nutą żałobną wykołysane, wzrastało całe pokolenie. I oto, gdy i pieśń ustała, gdy pod ogromem klęsk i zawodów zwątpienie ogarnęło masy społeczności, gdy myśl nawet spotkała zatamowane sobie drogi w skrępowanem słowie, i cienie nocy zstępowały już *na tę ziemię* żałoby, zjawia się nowy zastęp pracowników, co ma snuć dalej, na polu nauki i sztuki, przerwaną przędzę uczuć i myśli. Ten zastęp — to dzieci osieroconych matek — wzrosłe na zgliszczach ojcowskiego domu! To nasi uczeni, nasi artyści — muzycy, malarze, rzeźbiarze. „Miłość i tęsknota — jako dwie prządki naszego żywota" — to dewiza ich natchnień i pracy, co jako nić złota, snuje się dotąd we wszystkich ich dziełach.

To też nic dziwnego, że młodzi malarze, w pogoni za swemi ideały, hołdując przeważnie uczuciu, liczniej niż inni biegli do tej Francji, gdzie to uczucie, razem z miłością wszystkiego co wzniosłe i piękne pielęgnowanem było. Nie należy też pomijać, że i pamięć przeszłości, rycerskiej epoki, której najznakomitszym tłumaczem-malarzem był Gérome, Dawid, H. Vernet i t. p. nie mogła nie pociągać ku stolicy Francji pokolenia, którego ojcowie zdobywali Somo-Sierra i osłaniali odwrót Napoleona z Moskwy. Inni tam wzięli wydoskonaloną technikę, blask zewnętrzny, urok dekoracyjny, które potem zużytkowali gwoli kaprysom swojej społeczności — myśmy wynieśli synowską miłość dla rzeczy ojczystych — zdolność wyrażenia uczuć i poszanowanie dla sztuki. I oto jest charakterystyczna cecha naszego malarstwa — *w obec sztuki u obcych.*

Na takim to gruncie, którego słaby zarys zaledwie mieliśmy czas naszkicować, *stanęła u nas sztuka dzisiejsza;* — i można być pewnym, że jeżeli na nim pozostanie, jeżeli przyjdzie jej w pomoc rozumna i wytrawna krytyka — jeżeli nie da się uwieść zwodniczym podszeptom chwili — można być pewnym, powtarzamy, że nie minie ją świetna przyszłość. Zakwitła nam bowiem, nie jako wątła, w cieplarni wypielęgnowana roślina — lecz jako kwiat bujny, na gruncie rodzinnym wyrosły."

Niemniej podniosłem i ciepłem było zakończenie odczytu:

„Nie posiadamy galerji, któraby to wszystko dla korzyści samejże sztuki i ku zadowoleniu dumy narodowej zgromadzić mogła — ale w jej braku mamy tę pociechę, że arcydzieła naszych mistrzów, obwożone po świecie i ukazywane tłumom obcym — opowiadają nasze dzieje, uczą ich językiem zrozumiałym dla wszystkich i że przypominają nas światu w sposób zaszczytny — sprawę naszą spychaną ze stołu gabinetów, wytaczają przed trybunał narodów. I w tem to leży zasługa i siła naszego malarstwa.

Zaprawdę, dziwne są drogi ludzkiego ducha! Bo oto ta nasza sztuka do niedawna jeszcze, zaprzeczana, nieuznawana w kraju i po za krajem, a nie rzadko zapoznawana przez tych nawet, coby ją zagrzewać byli powinni; ta sztuka odpychana obojętnością możnych, brakiem smaku i znawstwa ogółu, nieuctwem mas ciemnych; krępowana trudnościami okoliczności zewnętrznych — brakiem odpowiednich instytucyj — materjalnych środków — ta sztuka przebojem, że tak powiem, zjawia się już nietylko wśród nas samych, ale śród świata — staje tam jako czynnik potężny cywilizacji — i czarując nieznanym urokiem prostoty, rzewności, wdzięku — głośno powiada zdziwionemu światu: „Oto jestem."

Ludzkość, powiada Chateaubriand, jest jak okręt na morzu, który pędzony wiatrami wstecznemi, cofać się nieraz musi i zmieniać kierunek swej drogi, ale opierając się wytrwale burzom, zwraca się przy pierwszej sposobności, nagradza czas stracony, i staje u portu, który mu opatrzność wskazała."

Żałujemy, że nie możemy podać w tej chwili czytelnikom naszym więcej ustępów tego pięknego odczytu, pocieszamy ich jednak nadzieją, że p. Pawłowicz całą swą pracę pozwoli drukiem ogłosić.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

— U celu! — przywtórzył Vaudrey.

Chciał skromnie potrząść głową, jakby to aksamitne słówko nie pogłaskało mile jego miłości własnej, ale w spojrzeniu jego przebijała się radość tak naiwna, taka potrzeba objawienia jej i podzielenia się nią, że nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia wobec stwierdzenia swojego tryumfu przez współtowarzysza z lat młodzieńczych. Najsurowsi to są sędziowie ci, co słuchali naszych zwierzeń, naszych marzeń o przyszłości! Bo gdy nareszcie, marzenia owe ziszczą się, najczęściej wydaje się im, że zostali okradzeni. Lissac przynajmniej nie należał do tych zazdrosnych.

— Chodźmy do pani Marsy, kochany Lissac! — dodał po chwili Sulpicjusz. — Tembar-

dziej, że jeżeli jest podobną do portretu, jaki oglądaliśmy na zeszłorocznym Salonie, to musi być prześliczną.

I ująwszy pod rękę Lissaca, oddalił się z nim, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na foyer, gdzie ciągle piruetowały baletniczki, gdzie przy starych wykrochmalonych pedantach, młodzi podprefekci ukrywali się jeszcze po za swemi szapoklakami. W tejże chwili Granet z Moliną, pragnąc pożegnać ministra, porzucili Marję Launay, naiwnie uśmiechającą się, bo przed chwilą właśnie szepnął jej bankier, dotykając grubemi swemi palcami jej powiek: „Schowaj żabie oczęta swoje, ty ropucho szkaradna."

— Panie ministrze, — rzekł Molina, mierząc jego ekscelencję wzrokiem pełnym znaczenia. — Racz pan pamiętać, przy sposobności, że zawsze jestem całkiem oddany na jego rozkazy.

— Do zobaczenia, panie ministrze, jutro, w komisji więziennej, — przemówił ze swej strony Granet.

Po kilku jeszcze ukłonach, w jedną i drugą rzuconych stronę, Vaudrey odszedł grzeczny i uprzejmy jak zawsze.

Aby powrócić do loży, trzeba było iść przez scenę. Tam już zmieniono dekoracje. Na jasnem tle nieba, wybitnie odznaczały się kontury indyjskiej świątyni, z kolosalnemi posągami, w głębi zaś przepyszne pęki róż uśmiechały się z bujnej południowych stref zieleni. Czarodziejskie oświetlenie, wywołane promieniem elektrycznym, nadawało całości urok fantastycznego, łagodnego księżycowego blasku, a Sulpicjusz z wewnętrznem zadowoleniem przebywał obszerną tę przestrzeń jasności, podobną do gładkiego zwierciadła wody, w którem cień jego z wierną odbijał się dokładnością. Zdawało mu się, że to światło elektryczne, ta fantastyczna aureola. — to czarodziejskie uwieńczenie jego ministerjalnej godności.

W chwili, gdy opuszczał foyer, Sulpicjusz spotkał się z człowiekiem surowej powierzchowności, w czarnym ubiorze, zapiętym skrupulatnie na wszystkie guziki, a który, bez względu na swoją łysinę, z porostu bowiem głowy, pozostało mu zaledwie kilka kosmyków około uszu, z rozognionem obliczem, z iskrzącemi oczyma i wydętemi namiętnie nozdrzami, wkraczał niepewnemi kroki, do owego salonu, pełnego świateł i wonnych pachnideł.

Sulpicjusz rzucił nań okiem mimowolnie i nie mógł powstrzymać wesołego wybuchu, poznawszy w starcu swego poprzednika, którego miejsce zajął przy placu Beauvau — protestanta, hugonota, wdowca, ojca pięciu czy sześciu córek, a nadewszystko, moralizującego wiecznie, jak prorocy biblijni.

— Ach! pan Pichereau!

Tamten wstrząsnął pargaminową swą łysiną, jakby z nienacka w nią uderzony i z czerwonego stał się karmazynowym, na sam widok swojego następcy w ministerstwie, wyciągającego doń z uprzejmością obie ręce białemi okryte rękawiczkami.

Guy de Lissac przestał się śmiać.

Dwie ekscelencje spotykające się oko w oko, u stóp wschodów prowadzących do foyer, pomiędzy braminami, statystami, przekupkami i murzynkami: dwie ekscelencje naraz, jedna uśmiechnięta, druga skrzywiona, obie wystawione na pociski tego światka ciekawych i szyderców! To nie często się zdarza!

— Ach! złapałem pana, kochany kolego!— zawołał Sulpicjusz, bawiąc się zakłopotaniem p. Piehereau, zapiętego po szyję jak kwakier, a zawstydzonego jak zakrystjan, schwytany na gorącym uczynku...

— Mnie?... — jąkał Pichereau... — mnie? Ależ, kochany ministrze, to ja właśnie... pana... tak jest... to ja pana szukałem!

— Tutaj? — zapytał Vaudrey.

— Tu!

— W samej rzeczy?

— Pragnąłem pomówić z panem... tak jest... chciałem...

Biedny Pichereau targał machinalnie swą kamizelkę, chrząkał, kaszlał, przybierał minę poważną i bąkając po słówku, powtórzył raz jeszcze:

— Chciałem pomówić z panem.. pomówić o rzeczy bardzo ważnej... w kwestji gmin protestanckich.

Sulpicjusz o mało nie parsknął śmiechem.

Ów Pichereau, z powierzchownością pastora ewangielickiego, rzucał po nad okularami pożądliwe spojrzenia do wielkiego salonu, w którym Marja Launay słuchała niedorzeczności tłustego Moliny. Spragnieni nowinek reporterzy, kręcili się koło dwóch ministrów, dzisiejszego i wczorajszego, usiłując pochwycić dla swych dzienników chociaż urywek z ich rozmowy.

Guy de Lissac, z zajęciem obserwował zakłopotanego Pichereau, który zacierając ręce, nie poruszał się z miejsca, a usiłując przybrać uprzejmą minę, cierpkim swym uśmiechem zdradzał serdeczne pragnienie zadławienia swojego kochanego następcy.

— A więc dobrze, kochany kolego, — rzekł wesoło Sulpicjusz — pomówimy o tych pańskich gminach kiedy indziej. Tu nie byłoby może właściwe miejsce po temu. *Non est his locus!* Do miłego zobaczenia!

— Do zobaczenia, kochany ministrze! — odmruknął przez zęby Pichereau.

Vaudrey ciągnął już za sobą Lissaca, szepcząc mu z przytłumionym śmiechem:

— Wyborny sobie kwakier! Oddał tekę ministerjalną, ale klucz zakulisowy zatrzymał przy sobie!

— Zdaje się, — odparł Guy, że wstęp za kulisy jest pociechą dla ludzi zużytych. Tembardziej że niebieskie oczęta Marji Launay stanowić mogą pewien rodzaj plastru łagodzącego dla upadłego ministra!

— W takim razie, gruby Molina miałby rację! — zawołał wesoło Vaudray — a znalezienie się w miejszości parlamentarnej, byłoby chorobą kolana dla ich ekscelencji!

I sam w wybornym będąc humorze, serdecznie się uśmiał, patrząc na zirytowanego, swarliwego Pichereau, owego pokonanego doktrynera genewskiego, co idzie pocieszać się w foyer baletnic, podczas kiedy pięć córek jego, siedząc w domu, bawią się niewinną lekturą powieści angielskich, albo ćwiczą się w muzyce kościelnej, pod nadzorem zielonych okularów swej guwernantki.

— Ba! — zakończył wesoło minister — upadek nie jest znowu tak niebezpiecznym, skoro się spada w objęcia tancerki.

Pani Marsy wyczekiwała powrotu pana Guy de Lissac. Zaledwie spostrzegła ministra Vaudrey tuż przed sobą, pod strzelistemi promieniami swej lornetki, opanowała ją niepohamowana chętka, aby go ściągnąć do swojego, tylko co narodzonego salonu. I ona, podobnież jak mnóstwo innych osób, dotknięta była tym szałem, który życie współczesne czyni podobnem do tańca św. Wita. Młoda jeszcze i bogata wdowa, obsypywana pochlebstwami, zapragnęła, dla zabicia czasu, odgrywać jakąś rolę. Należała ona do liczby tych kobiet, co zdają się wiecznie pozować przed notatką reportera dziennikarskiego, niby przed aparatem fotografa. Prywatne jej stosunki znane były, w istocie, bardzo niedokładnie; ale za to wszyscy znali doskonale barwę jej włosów, kolor oczu, krój dostawców, *menu* jej obiadów; wiedziano kto u niej bywa, jak urządzone ma mieszkanie, jednem słowem, pani Sabina Marsy codziennie była przez sprawozdawców dziennikarskich ubieraną, rozbieraną i odmalowywaną w najdrobniejszych szczegółach.

Jeśli nie rozpowiadano głośno, to szeptano po cichu, rozmaite o niej historje. Mówiono między innemi, że dawniej *obmierziła życie* mężowi swemu, Filipowi Marsy, malarzowi, penzla którego „Miłosierdzie" podziwiano na wystawie luksemburgskiej, pomiędzy nymfą Hennera i portretem damy Karola Duran. Owdowiawszy, piękna, niezależna, dosyć bogata, wskutek sprzedaży utworów męża, rozchwytywanych na licytacji w hotelu Drouot na wagę złota; wkrótce po skończonej żałobie, otworzyła salon polityczny.

Otoczona licznem kołem przyjaciół, pozostała przecież samotną, nie budząc rywalizacji pomiędzy swymi wielbicielami, których hołdy przyjmowała z równą dla wszystkich uprzejmą obojętnością, jakby znużona niemi, pragnęła mieć dwór swój, ale nie faworytów. Miała ona dorastającego syna w kolegium; ale w pałacyku na bulwarze Malesherbes, nie widywano go prawie nigdy. Młody, blady studencik, w mundurku, zjawiał się ukradkowo w domu swej matki, składał jej wizytę, jakby osobie obcej, a potem uciekał czemprędzej na róg ulicy, w objęcia czekającej na niego staruszki, która brała go za rękę i uprowadzała pospiesznie, jakby go chciała bardzo daleko z tych miejsc uprowadzić. Staruszką tą była pani Marsy, matka zmarłego malarza.

Ona to wyłącznie zajmowała się wychowaniem wnuka, w czem dzielnie jej dopomagał snycerz, Franciszek Charriére, o którym ze stanowiska artystycznego mówiono, że zmarnował życie i talent, ale pomimo to korzystnie spieniężał swoje utwory, wyrabiając modele dla fabrykantów lamp z ulicy św. Ludwika na Marais. Charriére był niejako opiekunem i przewodnikiem młodego Marsy, przyjął zaś na siebie ten obowiązek w imię przyjaźni dla zmarłego kolegi.

Zresztą, nikt już w całem mieście nie przypominał sobie dokładniej o życiu i śmierci Filipa Marsy. Zgiełk paryski zagłusza wszystkie drobne osobiste sprawy. Tym sposobem imię Sabiny, oprócz pochlebnych szeptów, otaczała lekka mgła niewyraźnych wspomnień, co jeszcze więcej dodawało powabu pięknej pani domu, zdobiącej salon swój właściwym sobie wdziękiem i jakby delikatną wonią koleżeńskiej swobody. Ceremonialność kończyła się na białych krawatach — zbytnia uczoność nie była tam konieczną.

Salon pani Sabiny Marsy bardzo od niedawna nabrał rozgłosu. Uważano go jako miejsce schadzki, gdzie napewno można było spotkać

cały wielki świat paryzki, tak samo jak się go spotyka na trotuarach bulwarów, albo na pierwszem przedstawieniu nowej sztuki w teatrze. Był to wreszcie salon wielce uczęszczany, mogący pod tym względem iść w zapasy z półurzędowym a wielce szacownym salonem pani Evan i z cichszemi, poważnemi, cokolwiek sztywnemi salonami arystokratycznej kolonji alzackiej.

Aby cel ten osiągnąć, Sabina więcej aniżeli ktokolwiek inny potrzebowała taktu, silnej woli i wytrwałości, nie miała bowiem żadnych stosunków urzędowych. Koło jej znajomych składało się prawie z samych artystów. Ale malarze, wzięci w wielkim świecie, wprowadzili do niej kilku ateńczyków politycznych, wielbicieli sztuk pięknych, ludzi z okazałą powierzchownością i salonowców, chętnie razem z Vaudreyem utrzymujących, że tylko kobiety mogą wzmocnić rzeczpospolitą, tak jak historja uczy, że tylko kobiety stworzyły orleanizm — a już samo z siebie wynika, że obecność tych panów nadała salonowi gościnnie przez panią Marsy otworzonemu, niezbędne cechy wymagane od salonów wyższego świata.

W Paryżu zresztą nie trudno o salon, byle tylko mieć dobrą kuchnię. Kilkadziesiąt kartek bristolu, litografowanych u Sterna, i oddanych na pocztę, po zaopatrzeniu ich dokładnemi adresami, zdoła niezawodnie ściągnąć całą chmarę gości, tłoczących się do uprowidowanego bufetu, jak roje much uwijających się około plastru miodu.

Paryż zaludniony jest gośćmi, czyhającymi na zaproszenie.

A potem, pani Marsy była tak uprzejmą! Jak strzelec zaczajony na zwierzynę, tak ona czatowała na każdą rozgłośną nowinę. Codziennie, jakby za karę, odczytywała sprawozdanie „Dziennika urzędowego“, aby w dzisiejszym mówcy parlamentarnym odgadnąć jutrzejszego ministra. Z góry wywiadywała się, który malarz czy rzeźbiarz uzyskać ma medal honorowy w corocznej wystawie Salonu, aby pierwsza mogła zaprosić go do siebie i pokazać światu, że to ona go odszukała. W dziedzinie literatury, była protektorką nowej szkoły, oceniała ją bowiem w miarę zyskiwanego rozgłosu — a szło jej o to, aby jej salon miał charakter zarazem polityczny i literacki — aby mieścił w sobie artystów i mężów stanu.

Od kilku dni pani Marsy przygotowywała niespodziankę dla swoich gości. Dowiedziała się, że gdzieś dawano przedstawienia japońskie. Było to wystarczającem, aby i ona zapragnęła urządzić u siebie coś podobnego. Przypadek zrządził właśnie, że jeden z przyjaciół Lissaca, pan Jose de Rosas, powrócił do Paryża z podróży na około świata. Co za traf szczęśliwy! Jeżeli się pan de Rosas zgodzi, będzie mogła urządzić swoim przyjaciołom zachwycający wieczór: podróż człowieka takiego jak pan de Rosas — nowalja prawdziwa!

— Hrabina d'Horville wydaje poranki literackie — mówiła rozgorączkowana Sabina — u pani Evan bawią się odczytywaniem poematów i tragedji. I ja będę mieć swoich prelegentów i konferencje, jeżeli to ma być w modzie!

Przysłowie mówi, że czego kobieta chce... to stać się musi. Pan de Rosas, namówiony przez Lissaca, zdecydował się opowiedzieć gronu ciekawych Paryżanów swoje wypadki podróży. Zaproszenia zostały już rozesłane.

Pani Marsy uzyskała przyrzeczenie trzech ministrów. Uprzedziła o tem, kogo mogła. Nie wiele brakowało, aby wspomniała o nich w programie. Udało się jej nawet ubłagać samego p. Pichereau, zaciekłego purytanina, że przyobiecał bytność swoją na tym wieczorze, o którym szeroko już rozpisywali się kronikarze; aż tu nagle, ni ztąd ni zowąd, bez żadnej racjonalnej przyczyny, wybuchła kryzys ministerjalna. Granet zainterpelował gabinet Pichereau, pragnąc sam zostać ministrem; tymczasem, Pichereau upadł i Granet nie zajął jego miejsca. Złożono naprędce ministerjum Collard, a tekę spraw wewnętrznych otrzymał Sulpicjusz Vaudrey.

Razem z Pichereau upadli wszyscy ministrowie, którzy mieli słuchać opowiadań p. de Rosas na wieczorze u pani Marsy.

Pani Marsy była w rozpaczy. Nie mógł to Granet wstrzymać się z ośm lub z dziesięć dni jeszcze. Cóż było trudnego zwalić ministerjum Pichereau dopiero nazajutrz po zapowiedzianym wieczorze! Co mu tak pilno było zostać ministrem? Oh! pani Marsy dawno już posądzała Graneta, że jest niepohamowanie ambitnym! I jakiż skutek? On tryumfował, a raczej zdawało mu się tylko, że tryumfuje — kiedy ona nie miała ani jednego ministra na pokazanie swoim gościom. Przysłużył się jej, jakby umyślnie!

Z nowych ministrów nie znała żadnego. Z Collardem, adwokatem nantejskim, a obecnie prezesem gabinetu, zamieniła kilka słów na recepcji w Elysée, z powodu rozdartej przezeń koronki przy jej sukni. Collard, w istocie bardzo uprzejmie przepraszał ją za swoją niezręczność; ale nie było to jeszcze dostateczną znajomością, aby na jej podstawie, mogła pani Marsy prosić nowego dygnitarza o odegranie roli, mającej stanowić o przyszłości jej salonu.

Napróżno piękna pani Gerson, serdeczna jej przyjaciółka, pomagająca jej w czynienu honorów domu, dopóki sama nie otworzy salonu i nie zdmuchnie jej najlepszych gości z przed nosa, — napróżno powtarzała jej, że pomimo to, Pichereau przyjdzie. Sumienny człowiek z niego. Przyrzekł, że będzie — i dotrzyma słowa. Niezawodnie przyprowadzi z sobą i byłych swoich kolegów: ministra wychowania publicznego i ministra poczt i telegrafów. Ba! wielkie rzeczy, Pichereau! Cóż teraz Pichereau wart był w oczach Sabiny! Albo ex-ministrowie! Może ich mieć zawsze, tylu ilu zechce! Tego towaru nigdy nie braknie. Ale nie życzyła sobie, aby jej salon nazywano salonem *Inwalidów*, tak jak salon jej współzawodniczki nazywają salonem *Odrzuconych*. Nie, nie! na coś podobnego nie zgodziłaby się za żadną cenę!

Niegodziwy Granet! gorączkową swoją niecierpliwością zniszczył najpiękniejsze plany Sabiny!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Turysta - pedagog

wspomnienie trzech wycieczek w kołomyjskie góry

podał

Marceli Turkawski.

(Dokończenie).

Nasyciwszy się do syta tym widokiem, zasiedliśmy dla odpoczynku na trawniku, opodal szczytu. Daremne było huczne wołanie i śpiewanie na dół, nikt tego tam nie słyszał. Że ogólna panowała wesołość hulaszcza, przeplatana wychylaniem butelek, i przekąsywaniem pieczonego drobiu, że temi darami bożemi hojnie raczony sekretarz - sierota, nie czuł bynajmniej w takiem otoczeniu samotności, rozumie się samo przez się. Tęsknota i smętność nie przystoją wówczas turyście, gdy wszystko obok niego wre humorem, gdy się czuje w górach swobodnym i wolnym...

Ze dwie godziny bawiliśmy się należycie. Komitetu głos, przestrzegający programu, powołał turystów do powrotu, który z podobnemi przygodami, i tym samym odbył się torem, co pochód na Owidjusza.

Nadaremnie oczekiwaliśmy pod górą spodziewanego przybycia kuckich obywateli, którzy z nami przedsiębrać mieli nadrzeczną podróż. Po nocnej zabawie, ciężko im było się zebrać, turystom trudno było znowu ze spuszczonemi rękami próżnować, skoro coraz żywiej animuszu przybywało. Puszczamy się więc naprzód nad Czeremosz i po kamienistej drodze skręcamy na prawo ku wsi Tudiów. Ale z kobietami bieda! Cicho nie usiędą, chciwe są nowinek i gadaniny, których nie lubi z zasady turysta-pedagog. Jak nie zaczną się przesiadać, gnieździć, aż się oś od powozu złamała! Przewidywał to baczny woźnica i przestrzegał gadatliwą „rejentkę“ przed przesiadywaniem, ale na co się to zdało?...

Byłby więc powóz z trzema osobami wrócił napowrót do miasta, gdyby nie usłużny p. F., który z całą galanterją oddał naszemu bohaterowi do rozporządzenia swój węgierski wózek z arabskim zaprzęgiem. Mimo że już raz gadulstwo owej pani dosadnio było ukarane, przesiada się ona — cóż robić, język świerzbi, do tego wózka, którego przednie siedzenie na paskach było bardzo ruchome i podnosiło się za każdem drgnieniem lub uderzeniem o większy kamień. Nieszczęście chciało, że bystre konie szczególniejsze miały upodobanie w kopaniu, były więc trudne do prowadzenia, czego bez potrzeby podjął się sekretarz. I co się dzieje? Ledwieśmy minęli Tudiów i przejeżdżali obok kamiennego posągu (wystawionego staroście Burghardtowi) w miejscu, gdzie rowkiem spływa ze skały strumyczek, raptem drgnął silnie wózek, skutkiem czego podniosło się przednie siedzenie z młodą parą narzeczonych tak mocno, że sekretarz naprzód pchnięty dotknął się rękami ogierka po prawej stronie. Ten wierzgnął zamaszyście, przez co ciężar ciała sekretarza przychylił się na bok, i on, jak długi wypadł na ziemię. Szczęściem, że kurczowo trzymane w dłoni lejce powstrzymały pęd koni, które nieruchomo stanęły, a samo stłuczenie spadającego pedagoga nie było znaczne... Ile ten wypadek nabawił pań i obecnych widzów przestrachu, nie podobna opisać! Pewnikiem jest, że rozchodziło się tu (na włos) o katastrofę, rozstrzygającą między kalectwem a śmiercią!...

Cios ten, drobny na pozór, proroczy dla przesądnych, stał się fatalnym na przyszłość, gdyż pośrednio rozwiązał tragedję tego stosunku, co za sobą same niebezpieczeństwa pociąga, co najczarniejsze wróży nadzieje!...

Ledwie opatrzono ramię nadwerężone i do dalszej przygotowano się jazdy, aż tu obok nas wystrzeliła olbrzymia skała, zwana „Sokólski.“ Postawiona na lewym brzegu Czeremoszu pod Tudiowem, występuje ta skała nad samą drożyną pionowo (złożona jest z twardego pia-

skowca), zniża się ku tej rzece nagle, i przechodzi przez jej łożysko aż na bukowińską stronę, tworząc tam dzikie, poszarpane, nagie skaliska, które zdala mają pozór ruin zamczyska lub wież jakiegoś monasteru, dlatego je lud w Jaworowie nazywa „cerkowci.“ Nazwę „Sokólski“, pokrewną wsi „Sokołówka“, od której począwszy (tj. od zachodu) długie to pasmo się poczyna, trudno wydedukować od „sokoła“, któryby się tu miał gnieździć. Łańcuch ten, również Sokólski nazwany, biegnie równolegle do pasma Owidjuszowego między potokiem Rybnikiem a Czeremoszem, dochodząc 461 m. wysokości. *) Na stokach pasma Sokólskiego leżą wsie: Rożeń wielki i mały.

Spojrzawszy z drogi nadczeremoszowej do góry, przedstawia się skała Sokólski w całem znaczeniu imponująco. Z drżeniem wznosimy oczy nasze do góry w obawie, by jaki sterczący lub zwisły kamień od kształtnej całości się nie oderwał i nas pod gruzami nie zagrzebał... Zachwycają tam widza ukośne, równoległe żyły krzemienia, jak w podziw wprawia ta atletyczna siła tworzenia, co taki kolos przyrody w tem miejscu wytworzyła. Chcąc ocenić należycie wielkość i urok tej skały na maluczkiego człowieka, wybierajmy stanowisko najniższe, t. j. na drożynie nadbrzeżnej.

Tuż obok karczmy Rożnia grała na małym pagórku nasza muzyka kucka. Tu też na murawie rozłożyliśmy się przestronnie, rozkoszując się nowym widokiem szeroko płynącego Czeremoszu, który jakby umyślnie dla naszego zachwytu robi tu lekki zakręt, i następnie majestatycznie posuwa ku Kutom swe fale. Skoczna kołomyjka, którą zebrany obok nas lud ochoczo odtańczył, wiele dodała sielankowości temu obrazowi.

Nie mogąc i tu doczekać się nowych z Kut przybyszów (zaszło bowiem małe nieporozumienie), komitet uchwalił powrót do miasta. Jedna część, odważniejsza, udała się ku spławom pieszo, druga z „bojahuzów“ złożona ku podwodom. Ile na swej odwadze pierwsi zyskali, tyle znów na zbytecznej obawie drudzy stracili. Na przygotowanych trzech świeżych i dużych spławach, ozdobionych laskiem jodełek, usadowiliśmy się dosyć wygodnie. Nasi kiermanicze (wioślarze) poczęli zamaszyście sterować na środek rzeki, omijając zgrabnie skaliste odłamy, i podwodne progi, które w wielkiej ilości napełniły łożysko spokojnie tu płynącej wody. Posuwamy się otóż poważnie po bieluchnym Czeremoszu. Stan powietrza o południowej porze tak był łagodny i spokojny, że każde uderzenie i huk wystrzałów dynamitowych na drodze tudiowskiej, odpłacały panie systematycznem podskakiwaniem na siedzeniach... Tony mięszającej się w to muzyki dają turystom pochop do uniwersalnego śpiewu ojczystych piosnek, ich echo rozchodzi się daleko po Czeremoszu, odbija o skały nasze i bukowińskie wybrzeża... Niezwykłość jazdy budzi w nas nie do opisania zachwyt i prawdziwie boski czar!...

Przybiwszy wreszcie po półgodzinnem na tratwach pływaniu do brzegów, dziękujemy w duchu p. Fenerowi, zarządcy lasowemu w Uściérykach, za sprawienie nam takiej przyjemności, wynagradzamy poczciwych, biednych a tak sprytnych kiermaniczych, i zapełniwszy jak najgęściej podwody przybyłe, wracamy do kasyna miejskiego, gdzie już czekał gości składkowy objad. Swobodnie i gwarnie spędzamy ostatnie chwile pobytu pośród tych życzliwych turystom rodaków, wnosimy huczne toasty, a końcowe „kochajmy się“ przypomina nam powrót do domu, któryśmy jednym prawie ciągiem (przeszło 6 mil austr.) drogi nakładając tak szybko odbyli, iż o północy nieco pomęczeni, wróciliśmy zdrowo do Kołomyi. Abstrahując od wszelkich przykrości, łatwych do zrozumienia i łatwiejszych do wytłómaczenia, ogół turystowski był z wycieczki zadowolniony, mniej panie X. X., które nawet uroczyste złożyły słowo, że do żadnych wycieczek nadal należeć nie będą, najmniej turysta-pedagog, który prócz tylu zawodów, więdniejących kwieci losu, nosił w piersi przeczucie przyszłych boleści, pojmował trudność zadania i kolizji, której ofiarą mógł paść pod „Sokólskim“ postradawszy drogocenny żywot... Skutki powstałego ztąd usposobienia jego nerwowego okazały się niebawem. Bliższe umotywowanie i przeprowadzenie dziejów sercowych, wchodzi w zakres psychologii, a sama drażliwość wypadków uwalnia piszącego od głębszego nad tym przedmiotem zastanawiania się... Nie obwijajmy jednak w bawełnę ważnego faktu, jaki zaszedł niebawem w życiu turysty pedagoga, faktu łatwego do przewidzenia, odpowiedniego treściwemu przedyskutowaniu stron dodatnich i ujemnych rzeczonej pary, na mocy którego po obopólnem porozumieniu się stron odzyskał nasz bohater dawną wolność, potężne prawo tytułowania się kawalerem. Stało się, co się stać miało, wróciło, co wrócić musiało!... Ze z rozpaczonego, powątpiewającego o szczęściu tego świata, zgryźliwego narzeczonego, a w następstwie prawdopodobnie małżonka piszącego za piecem sprawozdania, wyszedł jakby z popiołu odrodzony do innego, świeżego życia „Fenix“ w postaci jowialnego, ruchliwego, pełnego zapału i przedsiębiorczości... turysty. Balsamem na rany serca nie było dlań pożegnanie się wieczyste z dawnemi marzeniami idealnemi, lecz dostarczyła go wycieczka na Czarnohorę, wiekopomna metamorfozą dokonaną na turyście-pedagogu.

*) Zwyczajnie podają wysokość szczytu na 2.500, — zaś na specjalnej karcie tej okolicy na 882 m., gdy przeciwnie na mapie instyt. geogr. wymieniono 461 m. Ładna różnica!

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** „Spiewnika Polskiego dla Ochronek, szkół ludowych i wydziałowych“ ułożonego przez Jana Czubskiego, nauczyciela przy seminarjum nauczycielskiem męzkiem we Lwowie, wyszła z druku Część II, przeznaczona dla klasy 2. i 3ciej. Część ta zawiera 31 pieśni dla klasy 2giej i 40 dla klasy 3ej, wraz z nutami i stosownemi uwagami. Wszystko cośmy mówili o części pierwszej tego Spiewnika, da się powtórzyć i tutaj, to jest, że pieśni są dobrze dobrane, muzyka harmonijna, słowem, że dziełko to jest dla młodzieży prawdziwie pożytecznem.

*** P. Roman Andrusikiewicz, autor „Projektu uposażenia szkół wiejskich gruntami“, przygotowuje do druku nową pracę p. t. „Latarnia dydaktyczna“. Wspomnionego „Projektu“ posiada jeszcze autor kilka tysięcy egzemplarzy, które zgłaszającym się wprost do niego gotów jest rozdać bezpłatnie.

*** W Lipsku wyszedł świeżo drugi zeszyt pracy dra Hockenbecka p. t. „Przyczynek do dziejów opactwa Cystersów w Wąchocku i tegoż miasta.“ Wydawnictwo tego dziełka, napisanego w języku niemieckim rozpoczęło się jeszcze w 1879 Wówczas wyszedł na widok publiczny tylko pierwszy zeszyt. Do wydanego obecnie zeszytu drugiego dodane są mapy Wąchocka i Łękna, opracowane na podstawie Łaskiego *Lib. benef.*

*** Wyszła z druku praca dra Weitzenbluta p. t. „Rys treściwy chorób kobiet.“

*** Szkaradzieństwa popisane przez Francosa w elukubracji p. t. *Halbasien* znalazły tłumacza angielskiego w osobie Macdonalla.

Sprawozdawca *Fourthnightly Review*, stając w obronie społeczeństwa naszego, za niefortunny wybór przedmiotu czyni ostry zarzut Macdonallowi.

*** Na wystawie sztuk pięknych w królewskiej akademji w Berlinie zwracają na siebie uwagę następujące prace artystów polskich:

„Odpoczynek wśród stepu“ Brandta.

Kilku braci szlachty jedzie na polowanie z wyżłami w bryce i chartami na smyczy i popasa na stepie.

Jeden z nich siedzi na koniu i zapala sobie fajeczkę — drugiego, który zsiadł z konia, rudy, brodaty żyd częstuje wódeczką.

Marja Buttawt Andrzejkowicz z Warszawy nadesłała obraz przedstawiający „Ucieczkę króla Władysława Łokietka.“

Król Łokietek, postać naturalnej wielkości, odpoczywa w ponurej jaskini, przy nim leżą tarcze i miecz.

Przez jedyny otwór, łączący ową pieczarę ze światem, dwóch chłopów wnosi kosz z jadłem i napojem.

Na szmer ztąd powstały, król zrywa się i słucha.

Piękna, szlachetna a przytem znękana jest twarz tego wielkiego, choć w małem ciele, króla.

Koloryt jednakże niezupełnie szczęśliwy, bo ciężki i posępny.

Alfred Kowalski z Monachium nadesłał w tym roku dwa obrazki, które przedstawiają sceny kostjumowe z czasów Ludwika XIV.

Pierwszym jest „Przejazdka w lesie“ — drugim „Polowanie w lesie Fontainebleau“.

Obrazki te zalecają się dobrze wdziękiem i technicznem wykończeniem.

Wilhelm Stryjowski z Gdańska przysłał również dwa obrazki, z których szczególniej „Życie flisaków na Wiśle pod Gdańskiem“ odznacza się prawdą i wielu zaletami wykonania.

Scena przedstawia brzeg Wisły.

Na rzece widzimy liczne tratwy z charakterystycznemi ogniami.

Dwóch flisaków, z których jeden trzyma skrzypki w ręku, zbliża się do grupy towarzyszów leżących na ziemi, między którymi stoi młoda, piękna dziewczyna.

Drugi obrazek przedstawia „Figlarkę“, młodą wiejską dziewczynę, z twarzą wesoło uśmiechniętą wśród otaczających ją słoneczników i innych kwiatów.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.